№ 22. Warszawa, dnia 21 Maja (2 Czerwca) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

SOKRATES I KSANTYPA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

PRZEZ

Teodora Banvilla.

PRZEKŁAD

Seweryny Duchińskiej.

(Dokończenie.)

SOKRATES.

Drodzy przyjaciele!
Bez niej osierocone mego domu ściany,
W mem sercu czas tej krwawej nie zagoi rany,
Bo jej gniew jak bicz twardy z rzemiennemi [sploty,
Wciąż dobroczynną chłostą budził mnie do cnoty.
Jako Sylen gdy biczem łamał upór osła,
Tak i we mnie cierpliwość i siła wciąż rosła,
Jeżeli kto zdradzieckie stawiał na mnie sidła,
Jeśli zbyt szczodrą dłonią sypał mi kadzidła,
I pochlebstwa słodkiemi chciał mnie poić miody,
Ksantypa dolewała hojnie morskiej wody
Do czary, by goryczą roztrzeźwić mnie trochę.
Czasami przyjaciele, wasze słowo płoche
Sprawiało, żem od niebian wywodził me plemię,
Ksantypa mnie z tych marzeń strącała na ziemię.
Jednem szyderczem słowem: „Tyś od zwykłych [ludzi
Nie lepszy!” Tak zaprawdę, pycha serce studzi,
A ona odganiała jej tuman z mej głowy,
Bo cnota, mili moi, to rumak bojowy,
Co rychło zleniwieje na kwiecistej łące.
To też ja, kiedy w niebo gwiazdami błyszczące,
Zapatrzon przez noc długą marzyłem w spo- [koju,
Krzyk Ksantypy, jak trąba wzywał mnie do boju!

PRAKSYAS.

Chodź z nami, Sokratesie!

ANTISTHENES.

Z więzów uwolniony
Wiedź nas tam, gdzie Illysus po łące zielonej
Wśród rozkwitłych wawrzynów swe przetacza fale.

BACHIS.

Może tam, widok słońca ukoi twe żale,
I rozwiążesz zagadkę Sfinksa nasz Edypie.

MELITA.

I ochłoniesz z tęsknoty po twojej Ksantypie.

SOKRATES (z boleścią głęboką).

Jej miejsce pozostanie pustem u ogniska,
Nie ukoi nic bólu co mi serce ściska,
Obok mojej Ksantypy, w tej dobie burzliwej,
Nic trwożyć mnie nie mogło, ani lud krwi chciwy,
Ni grady, ni pioruny, ni wietrzne zamiecie,
Ani twardy mróz zimą, ni skwar słońca w lecie.
Bez niej przepadła mądrość, zgasł mój rozum [cały,
Przy tym głosie co huczał jak potok ze skały,
Jam czuwał i powtarzał, w takt tego pokrzyku:
Myśl, ucz się, badaj, pracuj nędzny niewolniku!

EUPOLIS.

Żadna jej nie dorówna kobieta z tej strony.

PRAKSYAS.

Głos jej rozpędzał burzę...

ANTISTHENES.

Odganiał Tyfony!

(Ksantypa budzi się, lecz nie widzą tego obecni, słyszy z podziwem słowa męża, zachwycona wyciąga ku niemu ręce. Sama tylko Myrhina jest przy niej.)

SOKRATES (ciągnąc dalej myśl swoją).

Ku głębokiem otchłaniom zkąd światło połyska,
Gdzie świat ożywiające płyną zdrojowiska,
Zbiega moja Ksantypa, a ja sercem całem
Płaczę za nią, co chcecie?... ja tak ją kochałem!

KSANTYPA (na stronie).

Co wyrzekł? to w mem życiu pierwszy dzień uro-
[czy!
Kocha mnie!...

MYRHINA (do Ksantypy).

Gdy na światło rozwarłaś już oczy,
Niech przyjdzie tu, niech mary porzuci złowie-
[szcze...
Sokratesie!

KSANTYPA (kładąc jej rękę na ustach).

Daj pokój, niech-że mówi jeszcze!

SOKRATES (z głębokiem uczuciem).

Kochałem ją bo wierna, skromna i uczciwa,
Tkała w krosnach, lub snuła białą nić przędziwa,
Strzegła pilnie porządku, a za próg domowy
Na próżno nie lubiła wychylać swej głowy.
Żyła ze mną i dla mnie, kochała mnie lepiej
Niż ci, których pochlebstwo moje oczy ślepi.
Kochałem ją i kocham...

KSANTYPA (zrywając się i biegnąc do Sokratesa).

Sokratesie drogi!
Ty mnie kochasz!

SOKRATES.

Co? żywa! nieśmiertelne bogi!

ANTISTHENES (na stronie).

Snać piekło jej nie chciało!...

KSANTYPA (z uniesieniem do Sokratesa).

Na tak słodkie słowa,
Jakże nie miałam odżyć?

SOKRATES.

Ty żyjesz! tyś zdrowa,
Ksantypo!

KSANTYPA.

Ja do gruntu przemienić się muszę,
Jakiś obłęd piekielny ogarnął mi duszę,
Siałam postrach dokoła, gniew miotał mną wście-
[kły,
Me słowa gromem biły, gradem w oczy siekły,
Stekiem bezczelnych oszczerstw w złośliwym za-
[pędzie,
Czerniłam gołębice i śnieżne łabędzie,
Byłam zła i okrutna, nikczemna, szalona,
Bezczelna, stokroć gorsza od węża Pythona,
Ukarz mnie przyjacielu...

(Bierze kij zanosi go do Sokratesa.)

Weź ten kij sękaty,
Za me czyny bezecne jam godna zapłaty.

SOKRATES.

Co czynić mam z tym kijem?

KSANTYPA.

Bij mnie Sokratesie!
Wal!...

SOKRATES.

Za co?

KSANTYPA.

Kto zawinił niech karę odniesie,
Za krzyki, za niewdzięczność, za me krnąbrne
[serce,
Za to, żem ciebie drogi miała w poniewierce
Bij mnie więc, w obec tłumu, bij mnie, tak się go-
[dzi,
Niech patrzą na tę chłostę i starzy i młodzi.
Kiedy ty mnie kochałeś jam cię oto biła,
Teraz kolej na ciebie, rzecz się odwróciła.
Ja cię kocham, więc bij mnie, bijże co się zmieści,
Tyś płakał drogi mężu, pobladł od boleści,
Na myśl, żem ja umarła... bij, błagam cię oto!

SOKRATES.

Nie...

KSANTYPA.

Bij Sokratesiku, bijże moje złoto!

SOKRATES.

Ja ciebie nie uderzę...

KSANTYPA.

Jak o łaskę proszę...
Bij.

SOKRATES.

Nie mogę...

KSANTYPA.

Patrz, ręce błagalnie podnoszę.

SOKRATES.

Nigdy!...

KSANTYPA.

Cierpliwość moją wystawiasz na próby,
Bijże mój Sokratesie!

SOKRATES.

Ja nie chcę.

KSANTYPA.

Mój luby,
Zaklinam cię...

SOKRATES.

Napróżno...

KSANTYPA (wciskając mu kij w rękę).

Ha! teraz zobaczę
O ile ty mnie kochasz! bij mnie...

SOKRATES.

Ona płacze!
Co ty chcesz?

KSANTYPA (zanosząc się od łez).

Sto batogów!

SOKRATES.

Niech bogowie strzegą!

KSANTYPA.

Sto... czy słyszysz, ustąpić nie chcę ni jednego.

SOKRATES.

Pomyśl-no... trzeba przecie.

KSANTYPA (uderzając nogą w ziemię).

Bić mnie, bić potrzeba!

SOKRATES (podnosząc ręce ku niebu).

Apolo! twojem światłem zabłyśnij nam z nieba!

(Do Ksantypy)

Dajmy już temę pokój!...

KSANTYPA.

Ściskam twe kolana.

SOKRATES (słodko ale stanowczo).

Bić ciebie, to szaleństwo, żono ukochana!

KSANTYPA (zapalając się coraz bardziej).

Takiż zacięty upór w twem sercu szalonem?
Ty, coś łzami rzewnemi płakał nad mym skonem,
Gardzisz mną? bić mnie nie chcesz? o! ja nieszczę-
[śliwa!
Strzeż się!

SOKRATES (dobrodusznie).

Pięknie Ksantypo, że twa dusza zrywa
Pęta, co ją trzymały tak długo w obłędzie,
Lecz chcesz ode mnie chłosty!... z tego nic nie
[będzie.
Gdy duch się twój odradza w tak poważną chwilę,
Byłoby to z Charybdy stoczyć się na Scyllę.

KSANTYPA (z uniesieniem).

Na Scyllę? więc ja potwór, ja chwytam żeglarzy
W rozwartą mą paszczękę! co tobie się marzy?
Będziesz bił czy nie będziesz?

(Sokrates milczy).

Odpowiedz...

SOKRATES.

Nie będę!...

KSANTYPA.

Musisz, lub w obec tłumu wszelkiej czci pozbędę.

SOKRATES (podnosi ręce).

Ratuj mnie Herkulesie!

KSANTYPA (groźno).

Cóż?

SOKRATES.

Twa chęć daremna!

KSANTYPA.

Nie uderzysz?

SOKRATES.

Nie, nigdy!

KSANTYPA (rzuca kij, wymierza policzek mężowi).

Masz oto!

(Przerażona własnym czynem, jakby tknięta gromem, rzuca się do nóg Sokratesa i woła w rozpaczy)

Nikczemna!
I znów szał i napróżno o poprawie marzę,

Twa Ksantypa, to piołun w twego życia czarzė,
Pragnie iść nowym torem i z drogi się cofa...
O! na cóż ja się przydam?

SOKRATES (podnosząc ją i tuląc w objęcia).

Tworzysz filozofa!

(Do Dracesa)

A ty dobry Dracesie, wiedź Myrhinę twoją,
Niechże się serca wasze w tej krynicy poją
Gdzie prawda leży na dnie, oświeca i żywi,
A będziecie oboje mądrzy i szczęśliwi.

KSANTYPA (w objęciu Sokratesa, do publiczności).

Wszelkie złe idzie z kobiet, zdrada, chciwość [złota,
Próżność, swawola, zbytek, szalona pustota,
Cudne wdzięki łudzące ponętą zwodniczą,
Złote czasze zaprawne trującą goryczą.
Wszystko sprawą kobiety...

SOKRATES.

Wielbimyż ją przecie,
Cóżby znaczyły bez niej, wszelkie skarby w świe- [cie?
Biada! czyje kolano przed nią się nie zgięło,
Bogowie ją stworzyli... to ich arcydzieło.

(Zasłona spada.)

Dzisiejsza cywilizacya.

Sławiona oświata jaką się przechwala świat dzisiejszy, a szczególniej zachód Europy, z taką pychą głoszący się za jedyne słońce rozumu, przyświecające całej ludzkości, w samolubstwie swem doszedł do potworności, której opisom nawet się wierzyć nie chce.

Oto wiadomości jakie niedawno nadeszły z drugiej półkuli ziemskiej.

W Brazylii w prowincyi Paranapamena przerażającej dokonano zbrodni. Postanowiono tam trucizną wytępić plemię indyjskie Guyanusów. I padło ich skutkiem postanowienia tego 3,800 indyan, a 5,000, jeżeli nie wyratuje ich cywilizacya, paść ma dziś lub jutro. Szczegóły podaje dziennik Journal de Commercio dnia 16 Marca roku bieżącego.

Owym wielkim w imię cywilizacyi trucicielem jest niejaki senhor Joaquin Bueno. Zamieszkuje on San Jao dos Campos Novos, w okolicach San Paolo.

Bueno sam wyznaje, iż ma pod rozkazami 70 ludzi, wyłącznie tępieniu Indyan oddanych. Doprawdy zdawałoby się, że nie o człowieka tu chodzi, a wprost o tępienie szarańczy, pcheł lub karaluchów.

Owóż dnia pewnego wielcy ci cywilizatorzy napadli jedną z wiosek indyjskich. Przed dobrodziejstwami cywilizacyi przerażeni tubylcy zbiegli w lasy, opuszczając mieszkania, a których w każdem od 10 — 20 Indyan chroniło się. I oto, co nastąpiło dalej.

Przy każdej z indyjskich wiosek znajduje się trzy okrągłe w ziemi wykopane doły. Jeden znich najgłębszy, służy za zbiornik wody, w drugim przechowują mieszkańcy wioski napój z kukurudzy przyrządzany, t. zw. piksi: trzeci zaś, to skład najróżnorodniejszych wiktuałów, śpiżarnia pełna solonych ryb i dziczyzny.

Wypędziwszy z osady mieszkańców jej, napastnicy olbrzymią ilością strychniny zatruli wszystkie trzy doły, a następnie sami uszli z kolei. Gdy następnie po kilku dniach Bueno i towarzysze jego powrócili do owej wioski, w celu przekonania się, jak poskutkowało lekarstwo, już zdala chmary całe żarłocznego ptastwa były im odpowiedzią.

Tylko 3,000 trupów zastali na placu.

A przecież senhor Bueno najspokojniej głosi, że kto tępi Indyan w zamiarze rozprzestrzenienia ras cywilizowanych, ten dobrze zasługuje się ludzkości.

Bueno wraz ze swoimi siedemdziesięcioma nie poprzestali na jednej, powyżej opisanej zbrodni. Napadli oni następnie inną wioskę, przez 800 Indyan zamieszkałą i 800 ofiar zostawili w niej po sobie. Tym razem, w braku strychniny, użyto sublimatu rtęci, zatruwając nim napoje i żywność nieszczęśliwych.

Omne trinum perfectum, to też truciciele zamierzają wkrótce trzecią urządzić wyprawę. Celem jej ma być osada, licząca 5,000 mieszkańców.

Bueno, który poprzednio nazywał się podobno Joaquimem Malo, zapewnia, iż do powyższych zbrodni nakłaniały go najwybitniejsze w prowincyi osobistości, a nawet deputowani.

Niepojętem jest doprawdy zachowywanie się miejscowych władz wobec ohydy, wstyd ludzkości całej przynoszącej.

Biedny kraj!

Niedawno temu o podobnem wyuzdaniu donoszono z okolic Rio Novo i Rio Novense, szczęściem jednak doniesienia te okazały się kłamliwemi.

Inaczej rzeczy się mają z szajką Buena, ta istnieje i działa... a wspomnienie działań tych erostratesowych przejdzie do potomności.

Okrutna zemsta.

Monolog.

Podlotek! i on to powiedział mi w oczy?
Więc nic nie znaczą sploty mych warkoczy,
Więc nic nie znaczy blask mego spojrzenia
Tak upragniony? To nie do zniesienia!
Ah! jak te lata mijają powoli,
Prawda, on sobie już policzki goli,
I wąsik gładzi z widoczną rozkoszą —
Dorosłe panny do tańca go proszą
Gdy skocznej polki tony się rozlegą —
A o mnie szepczą, że będę niczego...
Mówiła o tem wujenka do mamy,
Dobrze słyszałam, grając dzisiaj gamy,
I nawet mi się wydawało potem,
Że mnie nazwała dzieciakiem i trzpiotem,
Tak?... więc się innych sposobów uchwycę,
Przywołam wielką powagę na lice,
Wezmę pod rękę książek stosy duże,
Rozprawiać będę o literaturze,
I chodząc krokiem wolnym po salonie,
Długiemi rzęsy oczęta zasłonię,
Niech nikt nie patrzy. A kiedy on potem
Przyjdzie mnie nazwać swym aniołkiem złotym,
Gwiazdką na niebie, lub w morzu perełką,
I klęcząc wyzna swoją miłość wielką,
Choćby mi serce bić miało okropnie,
Nie zaraz celu spragnionego dopnie,
Zemszczę się, widząc go w miłosnym szale,
Rękę mu podam, lecz... nie ścisnę wcale.

Bolesław Szen.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Około godziny dziesiątej przed południem, gdy tłum krewnych, znajomych i robotników z fabryki płynął jak fala ku pałacowi, jakaś młoda dziewczyna usiłowała torować sobie drogę wśród tłoku, szukając wzrokiem numeru domu, który w przystrojeniu żałobnych kirów zmienił jej się do tego stopnia, iż zupełnie poznać go nie mogła. Przekonawszy się, że się nie myli, zadrżała zlekka, lecz odzyskując w tej chwili zimną krew przeszła ze spokojem i powagą obok katafalku zarzuconego wieńcami i bukietami, których zapach odurzał niemal, spotęgowany jeszcze gorącem jarzącego światła.

Zbliżywszy się do trumny, uklękła, zmówiła krótką modlitwę i oddaliła się zwolna. Tą młodą osobą była właśnie Helena de Graville, która wchodziła do tego domu w chwili, gdy Piotr Hérault opuszczał go na wieki.

Nie znała nawet z nazwiska tego człowieka, którego matkę babka Heleny za mąż wydała i nadaniem skromnego posagu zapewniła jej tak świetną przyszłość. Hrabina zapomniała także wkrótce o dobrodziejstwie jakie spełniła, jakoteż i o osobach, które z niego skorzystały. Syn jej dorósłszy objął po ojcu zarząd majątku i fabryki, młody hrabia ożenił się niedługo i ze swego małżeństwa miał tylko jedyną córkę Helenę. Dziwnym zbiegiem okoliczności prawie w tym samym czasie, gdy majątek prostego robotnika wzrastał z każdą chwilą, fortuna wielkiego pana stawała się coraz szczuplejszą. Jest to fakt dosyć pospolity w naszym wieku gorączkowej działalności i nieubłaganej walki o byt.

Fabryka le Glandier kierowana niedołężnie, przynosiła straty raczej niż zyski i w końcu doszło do tego, że właściciel był zmuszony ją sprzedać. Chcąc odzyskać część kapitału rzucił się na ryzykowne spekulacye, lecz wojna jaka wybuchła, przyczyniła się do utraty resztek jego mienia. W roku 1875 posiadłość de Graville wystawioną została na sprzedaż i jakiś bankier z Dièppe nabył ją za bezcen.

Pan de Graville miał wielu przyjaciół możnych i wpływowych, to też za czasów marszałka Mac-

Mahona pobierał jakąś pensyę od rządu, lecz wciągnięty w zamieszki szesnastego Maja, znalazł się na bruku paryzkim bez pieniędzy i bez protekcyi. Doprowadzony do rozpaczy niepowodzeniem, nie mogąc znieść ubóstwa, zebrał resztki swoich zasobów i odpłynął do Texas, aby w tych stronach obfitujących w bogactwa i niebezpieczeństwa, odzyskać majątek lub umrzeć. Zamiast spodziewanych korzyści, znalazł biedak śmierć zdala od swoich, a wdowa po nim musiała sama myśléć o swem utrzymaniu.

Helena, szesnastoletnia wówczas panienka, okazała nadzwyczajną w tak trudnych okolicznościach siłę woli i wytrwałość charakteru. Widząc rozpacz matki zgnębionej tyloma ciosami, zajęła się sama energicznie zaprowadzeniem zmian koniecznych w obecnem ich położeniu. Odprawiła służącą i przeniosła się z matką do skromnego mieszkanka składającego się z dwóch pokoików przy ulicy de Clery. Nauczywszy się w krótkim czasie krawiecczyzny, dostała ze znacznego magazynu robotę do domu i od rana do nocy zręczne jej paluszki krajały, fastrygowały i szyły a właścicielka ich nie skarżyła się nigdy na znużenie. Zaiste dziwną było rzeczą widzieć to dziewczę od kolebki otoczone zbytkiem i opływające w dostatkach, teraz zarabiające igiełką na utrzymanie matki i swoje. Robota szła jej tak szybko i zręcznie, że zdawało się, iż jakaś niewidzialna wieszczka pomaga jej w tajemniczy sposób. Matka nie ulżyła jej w niczem, biedna kobieta płakała tylko i ubolewała nad swem nieszczęśliwem położeniem i smutną przyszłością córki. Na jej skargi i żale Helena odpowiadała zwykle z łagodnym uśmiechem:

— Prawda, mateczko, że los nasz wcale świetnym nazwać nie można, lecz iluż ludzi pozazdrościłoby go nam z pewnością! Gdy człowiek czuje się nieszczęśliwym, powinien zawsze pamiętać o biedniejszych od siebie, a przekonanie, że mniej cierpimy od innych, doda nam siły do znoszenia przeciwności i pogodzi nas z przeznaczeniem.

— Łatwo ci to mówić — odpowiadała matka z westchnieniem — ty jeszcze nie przywykłaś tak jak ja do całkiem innego życia. Wspomnienie minionego szczęścia goryczą napełnia mi duszę. Pomyśl tylko, co za okropna czeka nas przyszłość gdybyś ty, broń Boże, zachorowała; toż to nędza i ruina ostateczna, bo przecież ja nic zarobić nie potrafię i jestem tylko ciężarem dla ciebie!

— O! nie mów tak mateczko, pracować dla ciebie to najsłodszy, najmilszy dla mnie obowiązek. Jestem dumną, że choć w części odpłacić ci się mogę za trudy jakie podejmowałaś około mojego wychowania. Nie martw się o nic, mateczko, widzisz że jestem silna i zdrowa... a nic tak sił nie dodaje jak skromne życie i praca.

I śmiejąc się ściskała i całowała matkę a po chwili dodawała z powagą podnosząc głowę do góry:

— Zresztą ja nie chcę chorować.

— Ty nie chcesz! — powtarzała matka z wyrazem znużenia i wyczerpania na twarzy—jakby to było dobrze, aby wola wystarczała w takim razie.

— A mnie się zdaje, że człowiek siłą woli wszystkiego dokazać potrafi — mówiła znów Helena, marszcząc lekko brwi podczas, gdy twarz jej przyoblekała się powagą i energią niezgodną z jej młodocianym wiekiem.—Tylko, że wola ta nie powinna trwać pięć minut ale całe życie, ona ciągle, nieprzerwanie wieść nas powinna do raz wytkniętego celu...

— Zkąd ty czerpiesz tę pewność siebie?— przerywała jej z niechęcią pani de Graville, w głębi duszy bowiem gniewał ją ten wygórowany optymizm córki.

— Albo ja wiem — odpowiadała z całą naiwnością Helena—wypływa ona z mej duszy... Nie mogę myśléć w inny sposób i tak a nie inaczej chcę postępować nie rozumiejąc dlaczego tak robię.

— Ja chcę!... Ja chcę!... — powtarzała wdowa ze smutkiem.— Wszak wiesz, moje dziecię, że nawet król mówi: „My chcemy."

— Bo król ma ministrów, których rady musi zasięgać! — wołała wesoło Helena, rzucając się matce na szyję — a ja nie mam nikogo ktoby mi chciał narzucać swoją wolę... Widzisz więc mateczko, że jestem szczęśliwszą nawet od króla.

Po takiej rozmowie zabierała się do pracy z podwójną gorliwością.

Pani de Graville nazywała zazwyczaj córkę: „Panna ja tak chcę". Lecz pomimo żartobliwego tonu z jakim wyrażała się zawsze o jej silnej woli, w głębi duszy podziwiała jej odwagę i niepospolity charakter. Wszystkie istoty słabe potrzebujące opieki i wsparcia, muszą ufać komuś nieograniczenie, to też i pani de Graville podzielała wszystkie przekonania córki i pozwalała jej kierować swem życiem. Nigdy też nie miała powodu żałować ustępstwa swej władzy, gdyż dzięki Helenie w przeciągu dwóch lat położenie biednych kobiet polepszyło się do tego stopnia, że jakkolwiek nie zbytkowne ale spokojne i wygodne wieść mogła życie. Magazyny które powierzały jej robotę, wynagradzały doskonale zdolną robotnicę. Kilka razy ofiarowywano jej miejsce pierwszej panny w pracowni, lecz całodzienny pobyt za domem nie podobał się Helenie a przytem nie chciała opuszczać matki. Pani de Graville bowiem była ciągle tak osłabiona i rozdrażniona, że samotność bardzo źle wpływałaby na jej zdrowie; obecność więc Heleny w domu była niezbędną dla spokoju matki.

Pracowała zatem u siebie i dumną była z roli opiekunki, która jej przypadła w udziale. Cały dzień aż do zmroku siedziała przy oknie szyjąc i słuchając gwaru miejskiego, który z ruchliwej ulicy aż tu się przedzierał. Wieczorem gdy matka drzemała nad jakim dziennikiem lub powieścią, Helena szyła wciąż wytrwale, dopiero z uderzeniem jedenastej godziny, kładła robotę i pomagała matce położyć się do łóżka. Teraz zaledwie następowała dla niej chwila wypoczynku, którą także poświęcała matce, czytając głośno dopóki pani de Graville nie zasnęła na dobre. Często też wdowa w przystępie dobrego humoru mówiła:

— Zmieniłyśmy role, Helenko... Ty jesteś matką... a ja starem, niedołężnem dzieckiem, które musisz pielęgnować troskliwie.

Żart ten był w istocie najszczerszą prawdą. Gdyby Helena miała w matce pomocnicę a nie istotę bezwłasnowolną i pozbawioną energii, byłaby się z pewnością dorobiła jakiej takiej fortunki. Jej pracowitość, zręczność i spokojna pewność siebie, jednały jej wszędzie życzliwość. Patrząc na nią każdy ufał, że go nie zawiedzie i że jej robota odpowie w zupełności jego wymaganiom. Przytem młoda i ładna mogła z łatwością podobać się komuś. Pomijając ubliżające jej propozycye, spotykała się nieraz z poważnemi oświadczynami ludzi godnych szacunku. Między innemi właściciel żałobnego magazynu noszącego godło: Pod nieśmiertelnikiem, chciał ją pojąć za żonę. Był to człowiek około lat czterdziestu, brzydki lecz rozsądny i bardzo bogaty.

Helena, pomimo rad matki, która widziała w tem małżeństwie zabezpieczoną przyszłość córki, odmówiła bogatemu przemysłowcowi.

— Wolę pozostać starą panną — rzekła — niż wyjść zamąż za człowieka, któregobym nie kochała.

Matka szczerze zmartwiła się jej uporem, gdyż właściciel magazynu pod nieśmiertelnikiem, podobał jej się bardzo.

— Ty, która lubisz dogadzać każdej swojej fantazyi, mogłabyś być pewną, że człowiek ten postara się zadowolnić wszystkie twoje kaprysy — tłomaczyła Helenie. — Miałabyś w nim niewolnika nie pana...

— Cóż by mi z tego przyszło jeśli ten człowiek byłby dla mnie zawsze obojętnym? Ja wtedy tylko mam przyjemność żądać czego, jeżeli ztąd korzyść jaka dla ukochanych przeze mnie osób wypływa.

Tak więc życie dwóch kobiet upływało dalej spokojnie, jednostajnie, bez wzruszeń, bez żadnych nadzwyczajnych wypadków, urozmaicone tylko pracą i zobopólnem przywiązaniem. Nareszcie po trzech latach, grom nieszczęścia uderzył w Helenę: pani de Graville umarła nagle w skutek anewryzmu serca, pozostawiając córkę samą jedną na świecie. Straszny, niespodziewany ten cios przygnębił okropnie Helenę, nawet zwykła jej energia i silna wola opuściły ją zupełnie. Gdy utraciła ojca, cierpiała również bardzo, lecz czemże była ta boleść wobec nieszczęścia, które ją teraz spotkało? Straciła matkę z którą od urodzenia nie rozłączała się ani na chwilę, rozpacz jej tem była większą, że cios uderzył w nią tak niespodzianie, bez choroby, któraby ją zwolna przygotowała do możliwej straty. Wszystkie ogniwa łączące ją ze światem, pękły nagle a przyszłość przedstawiła się jej oczom jak czarna i pusta otchłań. Patrząc w nią czuła zawrót głowy i gorzkiemi zalewała się łzami spędzając długie godziny w osamotnionem mieszkaniu.

Po pewnym jednak przeciągu czasu, nastąpić musiała reakcya i dziewczę zaczęło zwolna otrząsać się ze swego pognębienia. Pobyt w mieszkaniu, gdzie na każdem miejscu przypominała sobie matkę, stał się dla niej nieznośną męczarnią, najpierwszą więc jej czynnością było zmienić lokal i wtedy to grubą okryta żałobą weszła po raz pierwszy do domu przy przedmieściu Poissonière. A było to jak już wspominaliśmy tego samego dnia, gdy Ludwik odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ojca.

Podobieństwo myśli smutnych lub wesołych, wytwarza nieraz sympatyę nawet między mało lub wcale nieznającemi się osobami. To też i Helena bezwiednie prawie polubiła młodzieńca w żałobie, którego widywała codzień z okien swego pokoju. W sercu jej obudziło się współczucie dla człowieka podobnem jak ona dotkniętego nieszczęściem i którego bogactwo nie uchroniło od smutku i boleści. Pierwszy to raz w życiu oczy panny de Graville spoczywały tak długo na postaci młodego mężczyzny.

Przez pół roku po śmierci pana Hérault, Ludwik wiódł jak najprzykładniejszy żywot. Patrząc na tę przemianę, możnaby przypuścić, że dostąpił chyba jakiej nadprzyrodzonej łaski. Nie bywał nigdzie a czas wolny od pracy spędzał ciągle w towarzystwie babki. Po śniadaniu jechał do Saint-Dénis i tam zasiadłszy w gabinecie ojca, przyjmował sprawozdania z czynności i wydawał rozkazy,

nad wieczorem wracał do domu na obiad a wieczór przepędzał najczęściej z panią Hérault i Emilią Lereboullej, która jeszcze większą przyjaźnią i troskliwością otaczała teraz staruszkę.

Rano i wieczór Helena siedząc przy oknie widziała Ludwika przechodzącego przez dziedziniec. Nie wiedziała nawet jego nazwiska, gdyż mieszkanie wynajęła od rządzcy domu. Dopiero odźwierny objaśnił ją kto był ten młodzieniec, dodając zarazem uwagę, że nie grzeszy zbytnią cnotliwością i jest niezmiernie bogaty.

Przepaść społeczna dzieląca milionera od ubogiej pracownicy była tak wielka, że Helena uczuła się spokojniejszą i powiedziała sobie w duszy, że może teraz swobodnie myśléć o tym ładnym chłopcu, którego prawdopodobnie nigdy w życiu nie spotka i który według wiarogodnych zapewnień odźwiernego, wielkim był nicponiem. Widocznie jednak stary Anzelm przesadzał gdyż postępowanie Ludwika było wzorowe. Młody człowiek wiódł życie tak regularne, że nigdy prawie nie spóźnił się nawet o minutę, zawsze o jednej i tej samej godzinie wychodził i wracał. Przytem twarz jego wyrażała taką słodycz, pieszczotliwość i cichy jakiś smutek, że każdy musiał go polubić od pierwszego wejrzenia. Ten ujmujący pozór był tylko blichtrem kryjącym chwiejny i słaby charakter, który jednak przebaczano mu nieraz później w życiu, dzięki jego powierzchowności.

Nie można powiedzieć, aby Ludwik miał złe serce, bynajmniej, był to dobry chłopak lecz letkiewicz do najwyższego stopnia. Śmierć ojca uczuł głęboko i pod wpływem smutku przeobraził się jakby w innego człowieka; postanowił szczerze zmienić tryb życia i być o tyle poważnym o ile dotąd był lekkomyślnym i marnotrawnym. Miał już przecie dwadzieścia sześć lat i dosyć użył świata, należało więc teraz zabrać się gorliwie do prowadzenia interesów, któremi ojciec z takiem zamiłowaniem kierował. W istocie zarząd olbrzymią fabryką w Saint-Dénis, gdzie wśród piekielnego hałasu pracowało ochoczo dwa tysiące robotników, mógł się stać bardzo miłem zajęciem dla człowieka inteligentnego. Dodawszy do tego różne przedsiębierstwa prowadzone na spółkę z panem Lereboulley, można było stworzyć sobie bardzo czynny i miło upływający żywot. Ludwikowi nie brakowało zdolności, tylko silnej, wytrwałej woli. Gdy po śmierci ojca zabrał się do pracy, nadzorcy fabryki ucieszyli się tem niezmiernie, sądząc że syn wstąpi w ślady nieboszczyka Héraulta i będzie dla nich dobrym i rozumnym panem. Chętnie też pomagali mu w wykonaniu różnych ulepszeń, dążących do podniesienia fabryki, utrwalając go w dobrem postanowieniu, które bez tego bodźca byłoby rozwiało się o wiele prędzej.

Po upływie pół roku, Ludwika znudziła praca i samotność, pewnego dnia pojechał do klubu, gdzie towarzysze przyjęli go z oznakami najżywszej radości. Walka pomiędzy obowiązkiem a przyjemnością trwała krótko, poczem Ludwik wrócił do dawnego trybu życia, który wydał mu się o wiele powabniejszym od surowej drogi pracy.

Począwszy od dnia tego, pani Hérault obiadowała sama w towarzystwie tylko Emilii Lereboulley a skromna pracownica nie miała już sposobności widywania tak często młodzieńca, przechodzącego w oznaczonych godzinach przez dziedziniec. Gdy pierwszy raz Ludwik nie przyszedł na obiad, Helena sama zapomniała o obiedzie. Robota wysunęła jej się z ręki, gdyż dziewczyna pochylona w oknie zadumała się głęboko, łowiąc uchem najlżejszy szelest. Słuchała jednak napróżno, odgłos dobrze jej znanych kroków nie rozległ się tego wieczora pod sklepieniem wchodowej bramy. Zmrok zapadał zwolna, okna pałacu Hérault zajaśniały światłem, potem zaturkotał na dziedzińcu powóz Emilii i krętanina służby objaśniła Helenę, że siadano do stołu. W tej chwili zegar na kościele św. Eugeniusza wybił godzinę ósmą i Helena z dziwnym bólem w sercu powiedziała sobie.

— Nie przyjdzie już dzisiaj.

Lekkie westchnienie uleciało z jej piersi, zdawało jej się, że traci przyjaciela. Szybko zamknęła okno a niewytłomaczone uczucie smutku i zawodu chłodem zmroziło jej duszę.

III.

Zabawa u księcia Vorészeff przeszła wszelkie możliwe oczekiwania. Książęca siedziba wznosiła się na Polach Elizejskich, w salonach pałacu oświetlonych czarodziejsko światłem elektrycznem, snuły się strojne i wesołe tłumy zaproszonych gości; odurzająca woń kwiatów i wytworych perfum unosiła się w powietrzu. Ciekawi potrójnym rzędem otaczali balową salę, przypatrując się tańczącym i słuchając namiętnych, porywających dźwięków muzyki, które orkiestra ukryta w loży po za zieloną osłoną zwrotnikowych roślin, rozlewała tajemniczo dokoła. Z galeryi okrążającej salon, mnóstwo osób podziwiało malowniczy widok różnobarwnych strojów, czarne i ponsowe fraki panów i wspaniałe domina kobiet, intrygujących zawzięcie brzydszą połowę rodzaju ludzkiego. Chwilami cichy szept głosów zmieniał się w gwar potężny, który zmieszany z wesołemi wybuchami śmiechu głuszył nawet muzykę, dźwięcząc jak marsz tryumfalny w pośród tej nocy rozkoszy. Po schodach zdobnych w rzeźbione poręcze i freski na ścianach, pędzla malarza Baudry, wstępował tłum ciekawych, pragnących obejrzyć wspaniałe mieszkalne pokoje księcia.

Wszystkie apartamenta stały otworem, a było co widziéć w tym pałacu będącym zbiorem najcudowniejszych dzieł sztuki, począwszy od przysionka w stylu Renaissance, którego ściany zdobiły mozajki florenckie, aż do sypialni w guście Ludwika XV. W komnacie tej nie było okien, światło dostawało się przez okrągły, oszklony sufit; drogie kobierce i wspaniałe makaty dopełniały umeblowania, zachęcając do poufałych zwierzeń i miłosnych zaklęć jakich nieraz milczącemi bywały świadkami. Wielki magnat rossyjski powiedział swoim przyjaciołom: „Bawcie się dziś jakby we własnym domu" i z gościnnością prawdziwego milionera ofiarował na ich rozkazy wszystko, czem tylko mógł się pochlubić.

Był on dziś tylko gościem swoich gości, którzy prosili go o tę zabawę. Zgromadził u siebie ludzi sławnych, uczonych i dowcipnych, jednem słowem wszystkich jakiemi szczycił się Paryż, jedną tylko osobę pominął: księcia de Bligny, który przed dwoma łaty wykradł mu żonę.

— Nietyle jeszcze mam do niego urazę za porwanie hrabiny — mawiał do swych przyjaciół — jak za to, że w pojedynku wpakował mi kulę w biodro i okulawił mnie na całe życie. Strata kobiety to rzecz do powetowania, lecz nogi nikt mi nie wróci.

Członkowie wszystkich klubów wysłali na dzisiejszy wieczór swoich przedstawicieli, a z pod koronkowych kapturków wychylały się ostrożnie, na chwilę z powodu szalonego gorąca uwolnione z masek, śliczne twarzyczki uroczych aktorek. Prassę przedstawiało dwunastu najznakomitszych talentem i charakterem dziennikarzy. Władzca współczesnego teatru, wsparty o marmurową kolumnę, przenosił innych wysokim wzrostem. Bujna, siwiejąca czupryna okalała twarz rozumną i myślącą, którą długie zdobiły wąsy zakrywając usta rozchylone nieco sarkastycznym uśmiechem. Dwie młode kobiety radziły go się widać w drażliwej jakiejś kwestyi, bo odpowiadał im dowcipnemi półsłówkami. Nieco dalej, szczupły i blady profilem przypominający Bonapartego, stał autor, który sławą i powodzeniem mógł rywalizować śmiało z najznakomitszemi. Grupa osób otaczała go ściśnionem kołem, chwytając chciwie każde jego słowo tchnące dowcipem i wesołością, która jak fajerwerk strzelała w górę rozpryskując się milionami iskier.

Spadkobierca mistrzów flamandzkich, mały wzrostem lecz wielki talentem, gładząc długą, jedwabistą brodę, rozmawiał ze sławnym muzykiem Vignot, który jakby w natchnieniu, podnosząc bladą, ascetyczną twarz do góry, dowodził coś o malarstwie z takiem przekonaniem, jak gdyby był w tym razie najbardziej kompetentnym sędzią.

Jakaś młoda tancerka opery, która dzięki opiece bogatego bankiera protegującego sztuki piękne, zaczęła sławą dorównywać pierwszorzędnym gwiazdom, przechadzała się wsparta na ramieniu młodziuchnego dyrektora komedyi francuzkiej, starając się o pozyskanie jego łask, zapewnie dlatego aby ją wprowadził w upragnione a niedostępne dla niej kółko towarzyskie. Dyrektor z uśmiechem strofował złośliwie powabną włoszkę, za co kilka razy dostał wachlarzem po palcach.

Książę de Cravan, wyrocznia mody i elegancyi, prowadził starannie zamaskowaną kobietę i ze śmiechem wstrząsał upudrowaną głową, skoro go się pytano:

— Kto to taki?

Jakaś dama z wielkiego świata, rzekła doń:

— Mości książę, przedstaw mi twoją towarzyszkę.

— To niemożebne! — szepnął ścicha z wystraszaną miną. — Przeraziłabyś się pani podobnej znajomości!

W istocie towarzystwo było tak różnorodne, że każdy mógł wybrać to co mu najlepiej przypadało do gustu. Maska kryła tak samo lica księżny jak damy półświatka, przy wejściu pytano tylko o nazwiska mężczyzn, kobiety mogły zachować jak najgłębszą tajemnicę.

Nawet gospodarz domu mógł powiedziéć szczerze, że nie wiedział kto był u niego na tym balu maskowym. I właśnie ta mieszanina występku i cnoty, to połączenie wszystkich stanów począwszy od osób wielkiego świata, skończywszy na ledwie umiejących się znaleźć w towarzystwie, to zbliżenie warstw społecznych, które w życiu rzeczywistem niezgłębiona rozdzielała przepaść, było jedną więcej ponętą dzisiejszej zabawy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Oj! ne chodzi Hriciu ta na weczerici! obraz ludowy ze śpiewami i tańcami, w pięciu aktach.

Pan M. P. Starycki, autor powyższego a wielce dramatycznego obrazu, jest zarazem dyrektorem trupy małoruskich artystów obecnie w Warszawie występujących. Głównem jego staraniem, co godne wielkiej pochwały, jest pragnienie wprowadzenia na scenę żywiołu ludowego i zasilanie jej przeważnie oryginalnemi sztukami. Posiada też ich spory zapas bardzo wiernie miejscowy żywioł obrazujących, splecionych ze scen zarówno silnie dramatycznych jak i komicznych we właściwych granicach utrzymanych.

W sztuce powyżej wymienionej, zamożna wdowa ma dorodną córkę Marysię, w której zakochali się dwaj młodzi parobczaki Grześ i Potap. Dziewucha skłania się sercem ku Grzesiowi i przekłada go nad Potapa, który wreszcie może z żalem odstąpiłby od ukochanej przez siebie, gdyby nie wpływ trzeciego zalotnika Chomy.

Ów Choma jest to człowiek o ile zamożny o tyle zły i brzydki, ale zawzięcie kochający Marysię. Pociągnięty urokiem jej wdzięku a niemając nadziei uzyskania pierwszeństwa nad współzawodnikami, postanawia szatańską intrygą usunąć ich obydwóch a później poślubić ukochaną. W tym celu stara się przekonać Grzesia, że Marysia nie kocha go tylko Potapa, a wmawia znów w Potapa, że dziewczyna jest w nim wielce rozmiłowana, tylko się boi Grzesia, gdyby go odrzuciła.

— Zabij go więc! — powiada Chomy — patrz, oto nóż dobrze wyostrzony, jedno uderzenie nim w zwadzie umyślnie wywołanej a spełni twoje pragnienie.

Na wieczornicy liczna gromada zbiera się biesiadników, dwaj współzawodnicy w sprzeczce od słowa do słowa, rzucają się na siebie, Potap rani Grzesia w bok za co zostaje uwięziony. Jednego więc już Chomy usunął, pozostaje jeszcze drugi, trudniejszy do pokonania, ale złość ludzka na wszystko sposób znaleźć potrafi, byle tak się stało jak pragnie. Chomy więc widząc, że Marysia coraz silniej przywiązuje się do Grzesia, matkę jej doprowadza do ostatecznej ruiny a Grzesia zapewnia, że Marysia miłość dla niego tylko udaje a kocha Potapa i za nim przepada.

Grześ zakochany a więc podejrzliwy i łatwowierny, w rozpaczy udaje zalecanki do Haliny, co Marysia zobaczywszy, w przekonaniu że jest opuszczoną, postanawia okropną zemstę. Zaprasza więc Grzesia do siebie, robi mu wymówki, rozpacza, szydzi z niego i przy pożegnaniu na wieczną rozłąkę, podaje wódkę z trucizną, Grześ wypiwszy pada, wijąc się w boleści i wymówiwszy:

— Maryś! wierz mi, że ciebie jedną tylko kochałem!

Dziewczyna dowiaduje się za późno o stałem Grzesia przywiązaniu, dostaje jakby obłędu, przytula martwą głowę kochanka do piersi, obsypuje ją pieszczotą, całuje i głosem rozpaczy śpiewa piosnkę ludową, której pierwszy wiersz stanowi tytuł całej sztuki.

W chwili tak dramatycznej wpada Choma na scenę. Ucieszony, że mu się szatańsko ułożona intryga tak dobrze udała, że nienawistni zalotnicy już zostali usunięci a matka Marysi do nędzy doprowadzona zmusi córkę do małżeństwa, chce ją uprowadzić. Ale Marysia nie chce odstąpić od nieżyjącego już kochanka, broni się, nie daje się od niego oderwać...

Wtem zaczynają się gromadzić ludzie, radzić i rozważać, sprawa się wikła, powstają podejrzenia, przypuszczenia, prawda wychodzi na wierzch, wszyscy zwracają się przeciw Chomie i gdy chcą go przyaresztować, ten wyznaje, że kocha Marysię i zadając sobie cios śmiertelny, pada obok trupa Grzesia.

Sztuka ta, jak to z treści tej łatwo osądzić, posiadająca wiele dramatycznego żywiołu, wstrząsającego sercem do jego głębi, przeplataną jest śpiewami solowemi i zbiorowemi, pełnemi rzewnej melodyi i tęsknoty, a jak w tańcach barwiącemi się wielkiem ożywieniem.

Gra artystów była bez zarzutu, prowadzono ją lekko i swobodnie z prawdą godną uznania. Z główniejszych ról godni są wzmianki: panie Bojarska, Wołków i Wierina, a z artystów, panowie: Wańczenko, Kotarski, Grica i Mańko.

Druga sztuczka a raczej komedya pod tytułem: **Za dwoma zającami**, odegrana przez tęż samą truppę małoruską, układu p. Staryckiego-Lewickiego, oparta jest na podwójnych zalotach dość często w świecie praktykowanych, jednych do panny posażnej rozumem wybranej, a drugich do ukochanej, wskazanej wyborem serca. Niewygodne to bardzo położenie, bo jeśli serce nie sługa, nie znoszące przymusu, to i rozum jest władzą niemałego znaczenia.

Walka między niemi czasem straszna a i komiczną bywa niekiedy, zwłaszcza dla obojętnych zdala przypatrujących się wszystkiemu. P. Starycki tę właśnie komiczną stronę wziął za treść do swej komedyi. Jest też w niej wiele życia i ruchu, akcya idzie żwawo, zawikłania się plączą, czasem wpadają w farsę, ale rzecz bawi i zajmuje widza zręcznością przedstawianych obrazów.

Występujące w tej sztuce postacie: golibrody przechwalającego się swoją światowością i uczonością; kramarza mało miasteczkowego, udającego gwałtem szlachcica; przekupki miejskiej wygadanej i krzykliwej zarazem; świętoszki złośnicy opryskliwej; wreszcie posługaczki przy monasterze, są rzeczywiste, wiernie wzięte z natury, nieurojone, a jednak zalecające się umiarkowanym realizmem.

Odegrania komedyi dokonano ze starannością godną uznania i z właściwem wniknięciem w jej ducha, czego głównie złożyli dowody: panie Kochanowska, Wierina, Starowa i Iskra oraz panowie Mańko i Kasinenko.

G.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Jak w zagranicznych pismach wojna dyplomatyczna na chwilę nie ustaje i ciągle się burzy, huczy, odgraża i potulnego trusiątka odgrywa rolę, tak i w naszem dziennikarstwie a raczej *tygodniarstwie* nieustanne wrą nieporozumienia, w których od zarzutów i doboru wyrażeń droga dalsza już wiedzie tylko prosto... do kija.

W Roli p. Jeleński swoim zwyczajem, zagryza żydów jednego po drugim, smucąc się i opłakując rzewnemi łzami, że ich wszystkich odrazu zagryźć z kretesem nie może. Dostaje się przy tej okoliczności i Prawdzie w osobie jej redaktora p. Świętochowskiego, zwanego szyderczo przez p. Jeleńskiego mistrzem Aleksandrem, ale zaczepki te ciągle ponawiane spowszedniały wreszcie i toną bez śladu w strumieniu chłodnej rozwagi redaktora Prawdy.

Na tej wstrzemięźliwości, źle wychodzi za to pan Ochorowicz, z którym Prawda i Przegląd tygodniowy obchodzą się jak z Paryasem skazanym na wieczną wzgardę, zapewne dlatego, że hypnotyzm dając mu klijentelę tak obfitą, że jej nawet obsłużyć nie może, przeciwnikom nie przysporzył ni jednego przedpłaciciela.

W pośród tej trójki żyjącej z sobą w wiecznej rozterce i w każdej chwili gotowej do bójki, Izraelita kręci się jak mucha w ukropie i gryziony zawsze brutalnie z równem odgryza się brutalstwem, więcej pragnąc wydrwić i dokuczyć jak usprawiedliwić się i przekonać.

Obecnie Prawda zaczęła poniewierkę panny M. Rodziewiczówny, za to że przyznano jej nagrodę za nowellę dla Kuryera Warszawskiego napisaną, i że wyprawiono dla niej ucztę z tego powodu, choć jeszcze nie sławnej ani rozgłośnej. Przy tej sposobności pan Kozłowski, autor niegdyś premiowanego dramatu Wójt Albert, dostał ponownie potężnego kułaka za chwilowy rozgłos i sławę autorską brzękiem rubli ozdobioną.

Gdyby ci panowie kłótnicy wiedzieli w jak śmiesznej roli w obec publiczności występują i to inteligentnej, mającej wagę i znaczenie, nie byliby do polemicznej szermierki tak pohopni.

Refleksye podobne groch to na ścianę, ale na prawdę godzi się już upamiętać w tem co godne nagany nawet w dzieciach, a cóż dopiero w ludziach, dochodzących już do przejrzałości.

W zeszłą niedzielę odbyła się w kościele pp. Sakramentek na Nowem Mieście, uroczystość przyjęcia pierwszej komunii świętej przez dziatki płci obojga.

Liczba ich wynosiła 200, z tych większa połowa przypadła na dziewczynki. Nauki przedwstępne odbywały się od Wielkiej Nocy, dwa razy tygodniowo. Ostatnia nauka, połączona z egzaminem religii miała miejsce w zeszłą środę. Przedtem w sobotę o godzinie 3 po południu, przystępowała dziatwa do pierwszej w swem życiu spowiedzi. W niedzielę świątynia otwartą była tylko dla dziatek i towarzyszących im rodzin. Po południu JE. ks. arcybiskup, udzielił dziatwie sakrament Bierzmowania. Każde z dziatek przystępujące do

komunii, po skończonej ceremonii, otrzymało na pamiątkę książeczkę do nabożeństwa i medaliki.

Niektórzy ogrodnicy tutejsi zawiązali z okolicznymi włościanami umowy o dostarczanie ropuch, które jak wiadomo, żywią się robactwem, niszczącem roślinność.

Cena jednej gadziny dochodzi u nas do 10 kop., podczas gdy w Anglii i Francyi ogrodnicy płacą za ropuchę około dwóch franków.

Niejedna może z pań naszych nie wie, iż przepiękna róża, przyszpilona do gorsu, zawdzięcza swe istnienie najbrzydszej z najbrzydszych.

Na sezon wiosenny weszły w modę parasoliki damskie, kraciaste o jaskrawej barwie, czerwonej, zielonej i żółtej.

Że kolory owe są niepożądane dla wzroku, dowodzi fakt, iż przybyła przed kilku dniami do naszego miasta, mieszkanka m. Węgrowa, pani Wysokińska, która po trzech dniach osłaniania się parasolikiem całą czerwoną, zapadła na silne zapalenie oczu.

Wezwany lekarz, po zbadaniu szczegółów zapewnił, iż czerwony kolor parasolika stał się główną przyczyną cierpienia.

Warto zastanowić się nad tem.

Toaleta ślubna księżniczki Ireny heskiej składała się z sukni z białej moire antique przybranej girlandami z myrtu, kwiatu pomarańczowego i cennemi bardzo starodawnemi koronkami alansońskiemi.

Koronki te, oraz przepyszny taki sam welon, stanowiły w swoim czasie część stroju ślubnego zmarłej wielkiej księżny Alicyi heskiej, matki księżniczki Ireny i zgodnie z wolą jej mają nazawsze pozostać jako strój ślubny w domu heskim. Tren również morowy, 6 metrów długości całkowicie pokryty był haftem wypukłym ze szczerego srebra; haft ten wyobrażał róże, oraz liście dębowe.

Dyadem zdobiący skronie księżniczki stanowi tak zwaną „Princessinen Krone" i po każdorazowem użyciu przy uroczystościach zaślubin księżniczek domu pruskiego lub oblubienic potomków Hohenzollernów po mieczu, wędruje napowrót do skarbca królewskiego.

Dyadem ten w czwartek, jak zwykle w takich razach, przynieśli w chwili rozpoczęcia ceremonii oficer i dwaj żołnierze „garde du corps", pod przewodnictwem dwóch urzędników skarbca i wręczyli go do rąk własnych cesarzowej, która osobiście ozdabia koroną tą skronie każdorazowej oblubienicy.

Dyadem ten jednak na każdą prawie uroczystość bywa przerabiany, zastosowany do modnego w owej chwili czesania, przybrania głowy i t. p.

Tak też i dla księżniczki Ireny całkowicie został przekształcony, w którym to celu jeden z jubilerów berlińskich, otrzymał ze skarbca pruskiego kilka przepysznych, w srebrne haczyki jedynie oprawnych brylantów, pomiędzy któremi był cenny rzadkiej piękności soliter, wartości przeszło 30,000 marek.

Przed wyjazdem księżniczki z Darmsztadtu, wystawione były dla towarzystwa tamtejszego ślubny strój i wybitniejsze dary złożone oblubienicy.

Ojciec i rodzeństwo ofiarowali 5 dużych gwiazd brylantowych, a nadto pierwszy jeszcze dwa olbrzymie solitery na kolczyki.

Babka królowa Wiktorya angielska, obdarzyła wnuczkę bransoletą o poczwórnym rzędzie brylantów, wśród których lśni olbrzymi szafir, dalej figuruje kilka garniturów cennych koronek tak zwanych angielskich, materye przeróżne i aksamity na suknie, szal indyjski i kołdrę szydełkową własnoręcznie przez królową wykończoną.

Hescy książęta Henryk i Wilhelm przysłali duży portret babki księżniczki, księżny Karolowej heskiej.

Księżna edynburska ofiarowała broszę brylantową w kształcie dwóch połączonych kopyt końskich, a księztwo Connaught indyjski naszyjnik z brylantów i pereł.

Kartka złożona w dużym wspaniałym koszu srebrnym wskazuje, że jego ofiarodawczynią jest cesarzowa Eugenia.

Trzy duże gerydony srebrne, pochodzą od księcia Aleksandra heskiego i księżny battenberskiej, dwie kotwice z brylantów i korali od księcia Aleksandra battenberskiego.

Damy towarzystwa darmsztadzkiego ofiarowały duży portret zmarłej księżnej Alicyi, pendzla słynnego malarza Angeliego; damy i panowie dworscy artystycznie rzeźbione stalugi, z albumem obejmującym w kilkunastu akwarelach, widoki miasta i okolic Darmsztadtu; heska kawalerya brygady noszącej imię narzeczonej, bransoletę z brylantem, szafirem i rubinem; dar kobiet darmsztadzkich stanowi szeroka ciężka bransoleta z dwoma medalionami, zawierającemi podobizny obudwóch sióstr oblubienicy. Na kapslach mieszczą się duże cyfry z brylantów i rubinów, a za niemi korona wielkoksiążęca również cała z brylantów.

Cenny nadzwyczaj dar pamiątkowy złożyła księżniczce sędziwa angielka, guwernantka niegdyś jeszcze jej matki, bransoletę z włosów księżny Alicyi z medalionem, w którym wymalowane jest oko, późniejszej wielkiej księżny.

Miasto Darmsztadt ofiarowało olbrzymi zegar z cuivre poli, z heskim i pruskim herbami, oraz herbem rodzinnego miasta księżniczki.

Obecnie trwa w najlepsze dowóz jesiotrów, jak wiadomo, sprowadzanych podczas ciepłych miesięcy od Kwietnia do Lipca.

Głównem siedliskiem handlu jesiotrami są Włocławek, Płock i kilka innych pogranicznych miast. Dowóz odbywa się koleją warszawsko-bydgoską lub parowemi statkami. Transporta nadchodzą regularnie co tydzień, w wigilję dnia targowego piątku. Co się wówczas dzieje na stacyi, trudno sobie wyobrazić. Około 50 detalicznych handlarek rybami, wśród wrzasków i przekleństw, wydziera sobie nawzajem z rąk towar, nie targując się o cenę. Następnie całe grono handlarzy udaje się gremialnie na plac za Żelazną Bramę, gdzie do świtu prawie odbywa się ważenie, sortowanie i podział towaru.

Monopol na dostawę jesiotrów spoczywa wyłącznie w rękach chrześcian. Kapitał wkładowy każdego dostawcy jest niewielki, bo zaledwie kilkaset rubli wynoszący. Zyski z transportów tygodniowych dochodzą do 100 proc. od włożonego kapitału.

Ikrę z jesiotrów w stanie surowym zakupują kupcy kolonialni na wyrób krajowego kawioru, płacąc za funt kop. 50. Podnoszenie lub zniżkę cen towaru ustanawiają sami detaliczni sprzedawcy, stosownie do wielkości transportu.

Zwykle na targ przywożą wszystkich ryb za ogólną cenę blizko rs. 2,000, a pomiędzy jesiotrami trafiają się sztuki, ważące niemniej, jak 390, 400 i 415 funtów.

W Nowym Meksyku odbył się niedawno pojedynek na pistolety pomiędzy młodemi dziewczętami, z których jedna liczyła 18, druga 16 lat... Powodem starcia była zazdrość o... chłopca, która wzrastając stopniowo doprowadziła do silnego nieporozumienia dwóch niegdyś przyjaciółek i powierniczek. Gdy spory stawały coraz ostrzejsze, dziewczęta wyzwały się na pojedynek, układając bardzo ostre warunki spotkania.

Mary, starsza z rywalek, więcej widocznie dotknięta zazdrością wystrzeliła pierwsza nie czekając komendy. Sara, niecierpliwa towarzyszka padła krwią zalana. Po udzieleniu jednak pomocy okazało się, iż Sara żyć będzie. Zazdrość wybuchła więc na nowo.

Największy parasol na kuli ziemskiej został obecnie wykończony przez firmę Wilson, Matheson et comp. w Glasgowie dla jednego z królów afrykańskich. Olbrzymi ów deszczochron ma 21 stóp średnicy i umocowany jest na kiju z drzewa mahoniowego tej samej długości. Sam parasol jest z włoskiej słomy; przy używaniu musi być wbijany w ziemię i daje schronienie mniej więcej 30-tu osobom.

Przepowiednia polityczna We Francyi obiega obecnie nowa bajeczka astrologiczna. Roku Pańskiego 1585 ukazała się u księgarza Jana Stratius w Lyonie rozprawa astrologiczna w rodzaju przepowiedni Nostradamusa. W tej starej książce, której jeden egzemplarz znajduje się w bibliotece państwowej w Brukselli, jedno z pism belgijskich odkryło jakoby następującą przepowiednię o Trzech Bo: „Żyć i umierać musisz o Galio pod trzema Bo. Przez dwa wieki pod Bo I wznosić się będziesz, o Galio. Ty wzniesiesz Bo II i rozpadniesz się. Następnie pod Bo III, chłopcem piekarskim, Bis Clem cię dokończy). Nowocześni prorocy polityczni stosują powyższą przepowiednię polityczną do trzech dynastyi: Bourbon, Bonapartei... Boulanger. Pod Bourbonami — Bo I — Francya w istocie przez dwa wieki, od roku 1589 do roku 1789, urosła w potęgę. Bonapartowie, Korsykanie, przynieśli rozdwojenie—Bo II.—Boulanger—Bo III—przyniesie ma jakoby Francyi zupełny upadek, a to dzięki Bis-markowi i Clem-enceau, który ma wywołać nową nieszczęśliwą wojnę i nową komunę. Tak przepowiada roku Pańskiego 1585 Jakób Molan, doktor nauki prawa i adwokat w Macon.

W Paryżu, odbyło się w tych dniach w teatrze na przedmieściu Batignolles pierwsze przedstawienie sztuki Ludwiki Michel p. t. Czerwony kogut. Publiczność paradyzowa i galeryowa zachowywała się tak hałaśliwie, iż sztuki nic prawie zrozumiéć nie było można.

Rozweseleni wielce widzowie naśladowali głosy zwierząt, o których w sztuce mowa, wilków, kotów, psów, śpiewali wraz z aktorami Carmagnoleę, a następnie już sami, niezważając na to co się dzieje na scenie: „En revenant de la revue" i „C'est Boulange, Boulange, Boulanger qu'il nous faut". Nie obyło się bez rzucania z góry zgniłych pomarańczy i kartofli, a wesołość powszechna doszła do punktu kulminacyjnego, gdy widzowie na parterze pootwierali parasole dla ochrony od rzucanych z paradyzu skrawków papieru. Ludwika Michel była obecną na przedstawieniu w loży, z kilku przyjaciołmi.

— Co to, znowu włos w zupie?

— Ah! prawda, ale niech się jaśnie pan o to nie gniewa, bo to przecie jaśnie pani.

* * *

— Jaki jest czas przyszły dokonany od słowa kochać?

Zapytana panna Irena, rumieni się, miesza, co zobaczywszy młodszy braciszek, wyręczając ją odpowiada:

— Ożenię się!

* * *

Wybory w Australii. W pewnym dzienniku, wychodzącym w Sydney, czytamy następujące szczegóły z zebrania wyborczego. Rzecz dzieje się w Liverpoolu. Staje przeciwko sobie dwóch kandydatów, niejaki Nobbs, zwolennik wolnego handlu i Watkin, protekcyonista. Pierwszy minister sir Henry Parkes, podtrzymuje kandydaturę Nobbsa.

Posiedzenie otwarte. Audytoryum hałasuje, krzyczy, potrąca się, gwiżdże. Wreszcie pierwszy minister zabiera głos. Mówi o wspólnej ojczyźnie.

— Wspólna? — przerywa mu ktoś — dlaczego nazywasz ją pan wspólną?

— Są tu ludzie — odpowiada minister — którzy nie umieją po angielsku. — I objaśnia słowo „wspólna", dodając, że na podobnych temu meetingach „znajdzie się zawsze jakiś pies lub oposum, który nie rozumie języka, jakim się przemawia do ludzi wolnych.“

Po chwili nowa przerwa.

— Przyszedłem przemawiać do ludzi, nie zaś do zwierząt najniższego gatunku — woła rozgniewany sir Henry Parkes.

Wśród niespokojnego audytoryum powstaje znowu jakaś niedorzeczna interpelacya:

— Ty tam, zamknij swoje pudło — krzyczy minister. — (Głośne śmiechy). Najlepiej zrobisz jak pójdziesz do szynku. Zajmujemy się tu sprawą za trudną dla ciebie. Za drzwi, idź szczekać na ulicy z psami! (Oklaski i śmiechy).

Wreszcie pierwszy minister, po długiej, napuszystej i ciągle przerywanej mowie, kończy w następujące słowa:

— Jeśli chcecie powiększyć jeszcze głupotę zgromadzenia narodowego, jeśli chcecie powiększyć obstrukcyonizm zgromadzenia, jeśli chcecie powiększyć podłe tchórzostwo zgromadzenia, to wybierajcie kandydata Watkin.

Co za słodkie obyczaje wyborcze! Widocznie pojęcie o parlamentaryzmie zmienia się stosownie do stopnia szerokości geograficznej.

* * *

Dróżnicy kolejowi podlegają pewnemu egzaminowi, odnoszącemu się do ich zajęcia.

Otóż jeden z techników, takiemu nowo przyjętemu oficyaliście zadawał różne pytania: co do sygnałów, co do zasuwania baryer przejazdowych i t. d., wreszcie z niepostrzeżonym uśmiechem zapytuje:

— A cobyś zrobił, gdybym przed nadchodzącym tuż pociągiem, kazał ci wyjmować, jednę z szyn kolejowych.

Egzaminowany spojrzał ze zdziwieniem na pytającego i zawołał:

— Przecież pan inżynier nie byłby taki głupi.

* * *

Pan X. podstarzały kawaler a znany ze skąpstwa, przechodząc przez Saski plac, spotyka panią Y. idącą ze swą córką panienką bardzo nadobną i przystanąwszy zaczyna z niemi rozmawiać. Wtem zbliża się przekupka z koszyczkiem kwiatków i zaprasza do ich kupna.

— Oto prześliczna róża — powiada—niech pan kupi dla panienki.

— Żebyś przepadła, razem z różą i panienką!— szepcze sobie w myśli pan X., ściskając pięści a jednocześnie prawie odpowiada: — Kupić różę, a to po co? Panienka sama jak róża wygląda.

RÓŻNE MYŚLI.

Pochlebca nigdy nie ma dobrego pojęcia o sobie, ani o drugich.

La Bruyerè.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Мая 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.